

Janusz Kozłowski - uczestnik Powstania Warszawskiego

Artykuł z gazetki szkolnej ze spotkania dn. 16.10.2004 r. z młodzieżą szkolną i nauczycielami Liceum Ogólnokształcącego im. K.I. Gałczyńskiego w Otwocku.

Wydarzenie I

Siódmy września 1939. Niemiecki zagon pancerny zbliżał się do Warszawy. Na wezwanie płk Umiastowskiego do opuszczenia stolicy przez mężczyzn zdolnych do noszenia broni, ruszyła cała rzeka ludzi, a z nimi masa uciekinierów. Byłem wśród tych ludzi i ja, świeżo upieczony maturzysta z Gimnazjum i Liceum i. Adama Mickiewicza. Szliśmy na północ w kierunku Mińska Mazowieckiego, przy czym część uchodźców skręciła w prawo, w szosę lubelską. Moja grupa poszła prosto.

Jeszcze koło Wawra zostaliśmy ostrzelani z broni maszynowej przez niemieckie bombowce wracające z nalotu na Warszawę. Obyło się, więc bez bomb. Ale byli zabici i ranni. Koło wsi Dębe Wielkie odpalało nas siedem messerschmitów. Każdy chronił się gdzie mógł, między innymi w szczątkach rozbitego bombami pociągu. Ostrzał nie przyniósł ty m razem strat. Samoloty odleciały, ludzie zaczęli wychodzić ze swych kryjówek. I wtedy nadleciał tylko jeden tylko mesesserschmit i znowu zmusił uchodźców do krycia się.

W pewnym momencie chłopczyk, może sześciu, może siedmioletni wyrwał się matce i zaczął uciekać po odsłoniętym, trawiastym terenie. Pilot musiał dokładnie wiedzieć, że to nie ten obiekt wojskowy, tylko dziecko, a jednak zniżył lot oddał serię w kierunku malca. Opiewać chybił, zatoczył łuk i lecąc tuż nad ziemią, ściał chłopca następną serią.. Potem odleciał. Gdy podbiegliśmy do dziecka, było białe jak gipsowa figurka. Całkiem wykrwawione. Matka wyła nad poległym.

Wydarzenie II

Środek okupacji. Grudzień 1942. Mieszkając przy ul. Wilanowskiej, blisko Wisty, udałem się w jakimś interesie nad odchodzącą od Czerniakowskiej ul. Fabryczną. Gdy wracałem nagle rozległy się wrzaski: "Halt! Halt!". Wiadomo było, co to znaczy. Każdy chronił się gdzie mógł. Na szczęście nie było wówczas domofonów i domowych fortec pozamykanych na dziesięć spustów i w każdej kamienicy można się było schronić do bramy lub na klatkę schodową.

Jednak po krótkim czasie zorientowaliśmy się, że to nie o nas chodzi. Niemcy schwytali żydowskiego chłopca, który przekradł się z getta na tak zwaną "aryjską stronę", chcąc wyżebrać dla siebie i dla swoich bliskich choć trochę jedzenia. Niestety został rozpoznany. Trzej żandarmi prowadzili go, a podnieceni widownią popisywali się kopaniem i obelgami. W pewnym momencie feldfebel wyciągnął z kabury parabellum i strzelił do dziecka. Upadło, ale jeszcze żyło. Wtedy Niemcy w jakimś potwornym napadzie okrucieństwa zaczęli wbijać małe ciało w chodnik podkutymi saperkami. Szybko ofiara przestała się ruszać. A my mogliśmy tylko patrzeć. Każda reakcja oznaczała przecież śmierć.

Wydarzenie III

Ósmy września 1944. Powstanie Warszawskie. Mój batalion stacjonował w gmachu Architektury Politechniki Warszawskiej przy ul. Lwowskiej. Zostałem przez dowództwo wysłany z jakimś ważnym meldunkiem na Plac Napoleona (dziś Powstańców Warszawy) do dowództwa powstania, które kwaterowało wówczas w

podziemiach Prudntialu. Był to spory kawał drogi, w dodatku najeżony różnymi trudnościami i niebezpieczeństwami, więc trwało to dłuższy czas.

Przeszedłem szczęśliwie stale rozbijany przekop Al. Sikorskiego (Aleje Jerozolimskie) i dotarłem na miejsce przeznaczenia. Szybko oddałem meldunek i udałem się w drogę powrotną. Przy ul. Zgoda usłyszałem, wraz z innymi ludźmi przemierzającymi się w tym rejonie, odgłos odpalania "krowy", sześciolufowego miotacza pocisków kruszących i zapalających. Schroniliśmy się do bramy. Gdy pył opadł, każdy poszedł w swoją stronę. I wtedy właśnie znalazłem, tak, dosłownie znalazłem na ulicy małą dziewczynkę, zapłakaną, umorusaną i całkowicie zagubioną. Początkowo nie chciała ze mną rozmawiać, wyraźnie bojąc się. Zdołałem w końcu dojść z nią do porozumienia. Dowiedziałem się, że ma na imię Lisia i że ma pięć lat. Z tego co wynikało, że gdy poszła do koleżanki do sąsiedniego domu, ich kamienica została zbombardowana i zginęli w niej rodzice i wszyscy bliscy.

Pomyślałem, że przecież nie można pozostawić dziecka samego i zdecydowałem się zabrać je ze sobą na Lwowską, gdzie mogą się nią zająć sanitariuszki i łączniczki. Wziąłem więc małą za rękę i poszliśmy. Przez część drogi musiałem ją nieść. Była słaba i głodna. Przed przejściem przez Aleje zjedliśmy trochę sucharów jakie miałem w kieszeni.

Przedostanie się na drugą stronę przekopu odbyło się prawie bez konfliktowo, ponieważ pocisk z działka, który uderzył w przekop wybuchnął gdy byliśmy po drugiej stronie. Poszliśmy Kruczą, potem Wilczą, na której paręset metrów przed nami uderzyła "krowa", a na rogu Marszałkowskiej "gołębiarz" (pozostały na terenach zajętych przez powstańców niemiecki strzelec wyborowy). Zastrzelił blisko nas mężczyznę. Przemierzwszy odcinek Marszałkowskiej zmierzaliśmy Koszykową ku bliskiej już Architekturze. I wtedy Lisia upadło. Myślałem, że się potknęła, ale nie, na przybrudzonej różowej, sukience pojawiała się rosnącą z przerażającą szybkością ciemną plama.

Porwałem dziecko na ręce i pędem pobiegłem na Lwowską do mieszczącego się tam w piwnicach szpitala "Sano". Nie zdołałem dotrzeć na miejsce, Lisia zmarła.

Sądzę, że strzelający wziął nas za ojca i córkę i w swym okrutnym bestialstwie wybrał małą za cel.

Zasadziłem się więc z dwoma chłopcami na Niemca i dopadliśmy go na jednym ze strychów wysokiej kamienicy. Gdy uciekał po dachu, zestrzeliłem go z niego. Spadł na podwórce. Cóż z tego, kiedy Lisia nie żyła.